

Jacek Koronacki: Przy okazji pandemii covid-19 – wokół paru dawnych i niedawnych lektur

Nie wiemy, czy pandemia jest Bożą karą za społeczne grzechy świata i upadek moralny Zachodu, czy też wybuchła za sprawą Bożego zezwolenia na ten dramat narodów. Ale to nieważne. Zrozumiałe i dobre jest to, że w każdym kraju zrodziła wolę walki z nią wszelkimi dostępnymi siłami. A smutne jest to, że nie wywołała na Zachodzie ducha pokuty za własne grzechy – pisze Jacek Koronacki dla Teologii Politycznej.

Zacznę od przypomnienia kilku głosów pisarzy i myślicieli, nie cofając się przy tym dalej niż do okresu między pierwszą i drugą wojną światową, i głównie wspominając współczesnych. Będą to głosy, by tak rzec, doraźne, a to znaczy oparte na bezpośredniej obserwacji i nie mające ambicji sięgnięcia do historycznych i filozoficznych fundamentów opisywanej sytuacji.

Andrew Lytle, ważny reprezentant amerykańskiego Południa, tak pisał w 1930 roku:

[...] dążenie do szczęścia zostało zastąpione kręceniem się w kółko, pozbawionym nawet tej logiki, jaką kieruje się pies goniąc własny ogon.

Jest to sprawa konfliktu między ludźmi a nienaturalnym pokłosiem geniuszu inwencji. Jest to wojna na śmierć i życie między techniką a zwykłym ludzkim funkcjonowaniem. Prawa do takiego funkcjonowania są naturalnymi prawami człowieka, ale dziś, w XX a nie XVIII wieku, są to prawa zagrożone po raz pierwszy w historii.

[...] jesteście świadkami spektaklu zaiste tragicznego: widzimy ludzi oszalałych pod wpływem własnej inwencji, zastępujących samych siebie nieożywionymi przedmiotami. Ostatecznie jest to moralne i duchowe samobójstwo, po którym nastąpi destrukcja fizyczna.

Andrew Lytle i inni południowi agrariusze nie ograniczali swoich analiz do przemian gospodarczych, ułatwianych przez postęp technologiczny i wymuszanych przez wielki pieniądz oraz wielki biznes. W soczewce ich analiz skupiały się przemiany społeczne i kulturalne. (W anglosaskim świecie podobnie do nich pisali wówczas angielscy dystrybucjoniści, wielki Gilbert Keith Chesterton i jego przyjaciel Hilaire Belloc.)

Wkrótce po zamachu z 11 września 2001 Thomas Fleming tak opisywał społeczną kondycję Ameryki (i, po stosownych oraz oczywistych modyfikacjach, całego Zachodu):

Większość ludzi [w Ameryce] nadal posyła swoje dzieci do szkół państwowych; większość uważa, że aborcja jest w pewnych warunkach dopuszczalna; większość akceptuje dra Martina Luthera Kinga jako świętego patrona Ameryki. Gdy część z nich się przebudzi, będzie już za późno. Prawdopodobnie już dziś jest zbyt późno. Prawda jest taka, że nie istnieje żadna partia polityczna, żaden ruch, odłam, znaczący polityczny przywódca, który powiedziałby prawdę o czymkolwiek, a co dopiero zarysował program przywrócenia normalności.

Nie jest przeto pytaniem, czy cywilizacja amerykańska upadnie, lecz kiedy, i co mamy zamiar czynić w tej sytuacji. Jak długo nie dostrzeżemy, iż żyjemy jakby w dekadencckim okresie Imperium Rzymskiego – powiedzmy w czasach Nerona lub Kaliguli – tak długo nie będziemy w stanie właściwie ocenić sytuacji. Jest tak samo pewne, że naszym światem rządzą barbarzyńcy, jak było to pewne w szóstym wieku.

Jeszcze kilka lat temu sądziłem, że Bubba [to popularne określenie przeciętnego Amerykanina] ma w sobie jakąś ochotę do walki o swoje, ale Bubba ogląda walki wrestlingu oraz telewizyjny kanał Playboya, zaś jego żona egzystuje na Prozacu.

Nie wiem, co się wydarzy, ale wiem, że sposób, w jaki dziś żyjemy oraz to, jak zareagowaliśmy na zamach z 11 września – „proszę, pozbawcie mnie [w imię bezpieczeństwa] moich swobód obywatelskich” i nadto „przysięgam nie myśleć źle o

Arabach” – jest dramatyczną ilustracją, jak nisko upadliśmy. [...] Jest inną sprawą, że będąc chrześcijaninem jestem bardzo daleki od jakiegokolwiek eskapizmu.

Tym łatwiej było mu uniknąć eskapizmu, iż był Fleming doskonale świadomy, że ciągle żyją w Ameryce normalne amerykańskie rodziny, są środowiska, miasteczka, które zachowały swoją tożsamość i które wiodą życie zgodne z tym co od pokoleń uważają za wartościowe. To życie rodzinne oraz życie większych wspólnot toczy się obok imperium, którego są obywatelami. Tradycyjne wspólnoty ciągle jeszcze mogą na szczeblu lokalnym utrzymać albo odtworzyć instytucje, które pozwalały im i ich przodkom zachować tożsamość. I dlatego pisał też:

Resztki Rzymu upadły ostatecznie 1500 lat temu. Ale różne aspekty rzymskiego życia przetrwały, i to nie tylko w zapiskach mnichów. Tradycje cywilizowanego miasta przetrwały w całych Włoszech i kiedy Europa była pogrążona w głębokim kryzysie (mniej więcej w czasie koronacji Karola Wielkiego), Włosi byli już w trakcie budowania nowej i może jeszcze wspanialszej cywilizacji. Kto wie, jaki typ cywilizacji zrodzi się za paręset lat na o ileż mniej imponujących gruzach Ameryki?

Jak napisał Horacy, *Naturam expellas furca, tamen usque recurret: możesz wyrzucać naturę widłami, ale ona będzie wracać*. Chyba że uda się w ludziach zabić człowieka, a niedobitki zamknąć gdzieś na obrzeżach nowej „cywilizacji”. Kto nie utracił zdolności czynienia właściwych rozróżnień, ten musi przyznać, że XXI wiek przyniósł

szalone przyspieszenie procesu destrukcji ludzkiej natury – na całym Zachodzie. Tyleż za sprawą rewolucji obyczajowej, co przebóstwienia natury, co uwielbienia wszystkiego co niesie technologiczny postęp.

I także za sprawą szybszej – u protestantów – i wolniejszej – u katolików – kapitulacji wobec współczesnych mód. Swoje wykłady radiowe w radiostacji Hessian Rundfunk w roku 1969 ks. Joseph Ratzinger kończył takimi słowami:

Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początków. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku.

Wraz ze zmniejszeniem się liczby swoich wiernych, utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi wiarę w centrum doświadczenia.

Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich.

Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali.

Z jednej strony jest prawdą, że rodzina, religia, partykularna kultura i lokalna autonomia ciągle opierają się zewnętrznemu nadzorowi i kontroli państwa oraz panujących „elit”. Starają się trwać, wierne zasadom, które nimi zawsze rządziły. Ale przegrywają i więdną, ponieważ nie odpowiadają potrzebom zinstytucjonalizowanego na nowych zasadach przez liberalną demokrację systemu racjonalnego rozdawnictwa wolności i dobrobytu. Ostać się mogą na tyle tylko, na ile mogą być przekształcone w towary konsumpcyjne lub przybory ułatwiające życie – na przykład religia jako narzędzie wspomagające przygotowanie do dorosłego życia i później zdyscyplinowane trwanie w liberalnym świecie. Jak kilka lat temu pisał ważny krytyk liberalizmu James Kalb, styl życia zwykłych obywateli

został zburzony przez komercjalizm oraz zorganizowanie codziennego życia na sposób przemysłowy przez państwo opiekuńcze oraz polityczną poprawność. Wymienione czynniki miały unieważnić tradycyjne wartości i tradycyjnie czynione rozróżnienia, tradycyjne instytucje i sposoby funkcjonowania we wspólnocie.

W efekcie zwykli ludzie zostają pozbawieni własnych skutecznych instytucji odpowiadających potrzebom ich codziennego życia i degradują się coraz bardziej, by w końcu osiągnąć poziom biernego proletariatu. Życie rodzinne [coraz częściej – przyp. JK] ulega rozpadowi, religia staje się papką, osiedle coraz mniej przypomina prawdziwe osiedle ludzi stanowiących pewną wspólnotę, elektroniczna rozrywka propaguje zachowania coraz bardziej grubiańskie. Rozluźnieniu ulegają związki między ludźmi w miejscu pracy, ponieważ

globalizacja zwiększa niepewność zatrudnienia, zaś wielokulturowość osłabia dawną wzajemną lojalność oraz zrozumienie między pracownikami.

James Kalb odnotowuje bezradność człowieka wobec sytuacji, w jakiej się znalazł. Sam ów człowiek nie potrafi dobrze wyartykułować swoich żali. Rzecz w tym, że te żale nie dają się wyrazić w języku liberalnej racjonalności, i stąd są niejako z definicji irracjonalne. Tyrania liberalizmu jest łagodna – nie wyrywa się człowiekowi języka, a tylko unieważnia lub skazuje na kpinę wszystko, co do dominującego liberalnego kanonu nie należy. Wszystko to co wykracza poza język i paradygmaty liberalizmu jest uznawane za wyraz braku tolerancji, nieracjonalną mowę nienawiści.

W swojej istocie problem zmiany języka, którym się posługujemy, sięga samych podstaw naszej zdolności komunikacji. Przez narzucenie obywatelom (anty)kultury liberalnej demokracji współczesny język jest językiem amoralnym, językiem opisu a nie etycznej oceny, językiem, z którego wyrugowane zostały kategorie cnoty i grzechu, w którym człowiek nie ma możliwości wyrażenia swoich głęboko ludzkich tęsknot.

Szkoła i w znacznie większej mierze uniwersytet wmawiają wszystkim, by przywołać cytaty z Patricka Buchanana „Śmierci Zachodu”, że

Zachód jest winien zbrodni ludobójstwa wobec wszystkich cywilizacji i kultur, jakie napotkał. [...] powtarza się bez końca, że społeczeństwa zachodnie są największymi w historii

rezerwuarami rasizmu, seksizmu, szowinizmu, ksenofobii, homofobii, antysemityzmu, faszyzmu i nazimu. Wedle tej teorii zbrodnie Zachodu wypływają wprost z jego charakteru, ukształtowanego przez chrześcijaństwo.

[...] Młodzi, żyjący w wolności i dostatku, zaczęli widzieć swe własne społeczeństwo i swój własny kraj jako zły, gnębicielski, niewarty miłości i lojalności. Więcej, niewarty lojalności stało się pokolenie rodziców, ich system wartości, ich wiara i ich instytucje.

Dziś zbyt wielu młodych, z winy szkolnych programów i akademickich nauczycieli, albo nie zna, albo – co znacznie gorsze i najczęściej doskonale nieuzasadnione – wstydzi się historii swoich ojczyzn. Niewykluczone, że – wyjąwszy środowiska pozostające w mniejszości – jest to pokolenie stracone.

Jednocześnie widoczna część obywateli Zachodu w dojrzałym wieku zrozumiała w końcu, iż spełnia rolę biernego proletariatu poddanego rządowi elit politycznych i gospodarczych, których interesy nie mają nic wspólnego z ich interesami oraz preferencjami. Obywatele ci zorientowali się, że elity bez żadnych skrępowań godzą się na zubożenie niższych warstw społecznych swoich krajów w imię własnych globalnych interesów (nie przeczy temu i ta prawda, że liberalna demokracja przyczyniła się do rozplenienia się w wielu społeczeństwach postaw roszczeniowych o socjalistycznej proweniencji). Stało się to szczególnie dobrze widoczne w USA, gdzie część białej klasy średniej, niższa klasa średnia i robotnicy – wszyscy

oni wolni od socjalistycznych ciągłot – wybrali na prezydenta Donalda Trumpa. Nie z podziwu dla tego ekscentrycznego miliardera, ale dlatego, że wyczuł społeczne nastroje i stał się ich wyrazicielem. Ale stąd do kulturalnego odrodzenia droga jest bardzo daleka.

Dzisiaj bowiem, przywołując jedynie diagnozę wybitnego Rémiego Brague'a, musimy się zgodzić, że w ramach dominujących prądów myślowych *nie jest możliwe uprawomocnienie istnienia człowieka*. Tu już nie o godność człowieka albo jej brak chodzi, chodzi o coś więcej – nie można odpowiedzieć na pytanie czy to dobrze, czy źle, że człowiek istnieje. I na pewno jest człowiek z technologicznej perspektywy bytem przestarzałym, jeśli nie zbędnym.

Yuval Levin, znakomity obserwator społecznej współczesności, zwłaszcza amerykańskiej, pisze o odrzuceniu antropologii ciągłości pokoleń na rzecz antropologii innowacji. Ta pierwsza implikuje kultywowanie cnót i życie we wspólnocie wiążącej pokolenia, ta druga czyni fetyszem innowacje z przyszłością niezakotwiczoną w przeszłości i teraźniejszości.

Mój przyjaciel Benjamin Gołdys tak to ujął: *Antropologia innowacji działa jak zasłona oddzielająca prawdę o człowieku od rzeczywistości sztucznej, zaprasza człowieka do przejścia na stronę tej drugiej, bez możliwości spojrzenia za siebie.*

Ja sam do antropologii innowacji nawiązywałem w kontekście analizy możliwych społecznych i kulturalnych konsekwencji wzrastającej w niebywałym tempie roli tzw. sztucznej inteligencji, której urządzenia

otoczą nas podobnie powszechnie jak dziś urządzenia elektryczne, ale których wpływ na nas będzie dużo głębszy.

Czy coś w tym obrazie zmienia fakt, iż z Chin wyruszyła do nas pandemia? Gdy dziewięćdziesiąt lat temu Lytle pisał o nadchodzącej destrukcji fizycznej, na myśli miał to zapewne, że samobójstwo moralne i duchowe ułatwi nadejście „Nowego wspaniałego świata”, o którym prawie w tym samym czasie pisał Aldous Huxley, a z nim nieludzkie traktowanie obywateli przez wszechmocne państwo.

Tymczasem nadeszła pandemia, która ma przynieść fizyczną destrukcję wielu w bardzo krótkim czasie i której źródło leży nie w kulturze, lecz w biologii. „Europa w kryzysie kultur”, jak to ujął kard. Joseph Ratzinger, cała zachodnia upadająca cywilizacja stanęła przed niezwykłym i nieoczekiwanym egzaminem, który jej przychodzi zdawać tu i teraz.

Przeżywamy pierwsze chwile tego egzaminu. Widzimy jak w wielu odzywa się wrodzona dobroć, troska o innych. Działania tych, których misją jest służenie innym, najczęściej wzbudzają najwyższy szacunek, niekiedy przyjmują postać działań nieledwie heroicznych. Zdumiewa i budzi szczególną radość gotowość niesienia pomocy potrzebującym przez całe rzesze młodzieży. Ale za wcześnie jeszcze, by móc ocenić postawę „milczącej większości”.

Zasmuca, choć nie dziwi, przynajmniej jedno. Nie wiemy, czy pandemia jest Bożą karą za społeczne grzechy świata i upadek moralny Zachodu, czy też wybuchła za sprawą Bożego zezwolenia na ten dramat narodów. Ale to nieważne. Zrozumiałe i dobre jest to, że w każdym kraju zrodziła

Zdumiewa i budzi szczególną radość gotowość niesienia pomocy potrzebującym przez całe rzesze młodzieży. Ale za wcześnie jeszcze, by móc ocenić postawę „milczącej większości”

wolę walki z nią wszelkimi dostępnymi siłami. A smutne jest to, że nie wywołała na Zachodzie ducha pokuty za własne grzechy – masowe zabijanie nienarodzonych dzieci, coraz częstszy rozpad rodzin,

przyzwolenie na szaleństwa w rodzaju homoseksualnych „małżeństw”, czy propagowanie chorych teorii zaprzeczających naturalnej płciowości. Wołanie o wzbudzenie tego ducha pokuty jest praktycznie nieobecne nawet u dostojników Kościoła, Papieża Franciszka nie wyłączając.

Ktoś powie w tym miejscu, że to perspektywa chrześcijańska, a więc anachroniczna na dzisiejszym Zachodzie. Słusznie. I na przykład wcześniej przytoczona diagnoza Thomasa Fleminga pozostaje w mocy – pandemia nic tu nie zmieniła.

Nie można wykluczyć, mało tego, można się obawiać, że gorsze od złych ekonomicznych skutków słusznego zamknięcia nas w domach będą skutki społeczne.

Już te pierwsze będą na pewno dojmujące, jakkolwiek dziś trudne do oszacowania. W każdym kraju dotkniętym pandemią poważnie wzrośnie dług publiczny, w wielu krajach od dawna o wiele za wysoki. Obecne, konieczne interwencje fiskalne, letarg, w jakim znalazły się gospodarka, handel, sektor usług, rodzi dramatyczny wzrost bezrobocia i wpędzą państwa w głęboką recesję oraz kłopoty finansowe, a za nimi przyjdą perturbacje polityczne. Jakkolwiek będą nie tyle zupełnie nieoczekiwane, co nastąpią szybciej i będą głębsze niż można było sądzić przed wybuchem pandemii.

Prawdziwe i niebezpieczne *novum*, jakie może na Zachodzie przynieść obecna pandemia, będzie złym owocem społecznej izolacji, zawieszenia normalnych międzyludzkich kontaktów. Już dziś specjaliści odnotowują nasilenie się przemocy w rodzinie. Nasze codzienne życie zostało przewrócone do góry nogami. Nieważne, czy to dobrze czy źle, na pewno w dużej mierze niosło to wiele dobra, ale przez co najmniej kilkadziesiąt ostatnich lat nauczyliśmy się żyć na co dzień ... poza domem. To szkoła i sport po lekcjach, praca w przypadku dorosłych, i nagle to wszystko zostało prawie każdemu odebrane. Jako populacja nie potrafimy żyć w domu zamkniętym 24 godziny na dobę, bez możliwości fizycznego spotkania współuczniów, współpracowników, przyjaciół. Nierzadko wręcz nie mamy możliwości zapewnienia w zamkniętym domu – zwykle zbyt małym pomieszczeniu, wszystko jedno czy domu, czy mieszkaniu – warunków do mądrego przetrwania tej izolacji, na przykład zastępując dzieciom nauczyciela i w innym momencie dając każdemu domownikowi szansę na chwilę zamknięcia się w swoich własnych sprawach. Na coraz szerszym społecznym marginesie pojawi się więcej domowej przemocy, więcej rodzin rozpadnie się. Inni być może nauczą się żyć na stałe zachowując ów „społeczny dystans” – na stałe ograniczywszy międzyludzkie kontakty.

Recesja pogłębi kryzys społeczny, właściwie społeczną dekompozycję, z jaką od dłuższego już czasu borykają się kraje rozwiniętego Zachodu. Na ulice wyjdą imigranci, mniejszości etniczne oraz najbardziej przez los dotknięci rdzenni mieszkańcy swoich zubożałych krajów, napadając na sklepy i na siebie nawzajem.

George Friedman, uznany politolog ma rację, gdy sugeruje (w komentarzu na stronie portalu Geopolitical Futures z 13 kwietnia 2020), by zakończyć dzisiejszą izolację, gdy tylko pojawi się choćby niepewne lekarstwo na złagodzenie skutków covid-19.

Recesja pogłębi kryzys społeczny, właściwie społeczną dekompozycję, z jaką od dłuższego już czasu borykają się kraje rozwiniętego Zachodu

Bliżej świata polityki właściwie nic nowego, tyle że czas bardzo przyspieszył. Od dawna jest oczywiste, że Unia Europejska jest ideowym bankrutem. O Brukseli z jej

Komisją, Parlamentem, Trybunałem – poza ich ewidentnym myślowym uwiązaniem – można by powiedzieć, że żyje w oparach absurdu, gdyby nie jedno ale – jej budżet (w listopadzie 2019 ustalono, że w roku 2020 wyniesie prawie 170 miliardów euro), który czyni Unię bytem o dużym ekonomicznym znaczeniu. Zaś to, jak ten budżet podzielić – jak to się dzieje od samego początku istnienia UE – leży w ogromnej mierze w gestii najpotężniejszych państw Unii, które rzecz jasna mają w pierwszym rzędzie na uwadze swoje własne interesy. Europejska

jedność i solidarność jak była, tak pozostanie mitem. Także pozostawanie Unii w ogonie najbardziej rozwiniętych technologicznie i gospodarczo mocarstw się nie zmienia.

Jakkolwiek jeszcze w chwili obejmowania urzędu prezydenta przez Donalda Trumpa znany brytyjski historyk specjalizujący się w nowożytnej i ponowożytnej historii gospodarczej, Niall Ferguson, mógł przewidywać powstanie swego rodzaju luźnego układu (osi) USA – Chiny – Rosja, to już w 2017 roku stało się jasne, że USA będzie traktować obydwa wymienione kraje, oczywiście zwłaszcza Chiny, jako niebezpiecznych konkurentów geopolitycznych i gospodarczych. Państwo Środka nie jest dziś tak bardzo zależne od eksportu, jak było jeszcze niewiele lat temu (chiński eksport składał się na 19,5% dochodu narodowego brutto w roku 2019 i na aż 32,6% w 2008). Innymi słowy, spadek eksportu wynikły z pandemii nie będzie dla chińskiej gospodarki obciążeniem nie do udźwignięcia. Ale – jak na to zwracają uwagę analitycy – rządy Xi Jinpinga uczyniły Chiny państwem, w którym spowolnienie ekonomicznego wzrostu stało się jego poważnym problemem nawet bez kłopotów przynoszonych przez pandemię i w którym będzie zapewne rosło nie tylko społeczne niezadowolenie, ale także niełatwo będzie w bliskiej przyszłości zadowolić rozbuchane apetyty aparatu partyjnego, który dotąd korzystał na wzroście potęgi gospodarczej kraju (p. komentarze na stronach portali Foreign Affairs i Geopolitical Futures; pierwszy z nich, Minxina Pei’ego ukaże się w majowo-czerwcowym numerze dwumiesięcznika FA). Ci sami analitycy przewidują, że Chiny będą musiały zrezygnować z agresywnego inwestowania w rozwój „jednego pasa i jednej drogi” (One Belt, One Road albo Belt and Road Initiative). Słowem wydaje się, że chińska ekspansja gospodarcza i polityczna zaczyna – znowu niezależnie od pandemii – wkraczać na kamienisty szlak, jakkolwiek będzie trwać. Szlak ten może się okazać tym bardziej kamienisty, że wśród krajów

Indo-Pacyfiku rośnie chęć ograniczenia zakusów Chin na wzmocnienie swoich wpływów w tym regionie, łącznie z jego wojskowym zdominowaniem. Zaczęły się dotyczące tej materii rozmowy krajów połączonych w luźną koalicję o nazwie Quadrilateral Security Dialogue (Japonia, Australia, Indie i USA). Koalicjanci starają się wciągnąć do kooperacji takie kraje regionu jak Singapur, Tajwan i Południowa Korea (p. komentarz Phillipa Orcharda na stronie Geopolitical Futures z 8 kwietnia 2020).

Oczywiście głównym aktorem na tej światowej scenie są Stany Zjednoczone. Jakkolwiek ciągle supermocarstwo będące największą militarną potęgą świata, to jednak nie są już Stany jedynym rozdającym karty w globalnej grze. To supermocarstwo, które uczyniło w tym wieku bodaj wszystko, co było możliwe, by zdestabilizować Bliski Wschód i skazać miliony ludzi na cierpienia. Po drodze zdążyło wspomóc Arabię Saudyjską w jej ludobójczej wojnie w Jemenie. Jest to zatem supermocarstwo, do którego zaufanie utraciło zbyt wiele krajów, co utrudnia mu dzisiaj prowadzenie skutecznej polityki międzynarodowej, ale którego potęga i własny interes sprawiają, że nadal jest cennym i przewodzącym partnerem krajów w różnych regionach świata. Można mieć nadzieję, że USA i Chiny znajdą jakieś rozsądne modus vivendi, choć nie wszyscy analitycy są w tej sprawie optymistami. Konflikt irańsko-amerykański będzie trwał – Iran nie zrezygnuje z planu stania się lokalnym bliskowschodnim mocarstwem, USA będą kontynuować politykę sankcji, cierpieć będzie irańska ludność. W Syrii USA oddały inicjatywę Damaszkowi, Ankarze i Moskwie. Pandemia jedynie przyspieszyła ten ostatni proces.

Jak na stronie portalu Foreign Affairs pisze Richard Haass (7 kwietnia 2020) i co już parokrotnie powtórzyłem w tym tekście – także w odniesieniu do USA – pandemia nie zmieni historii, lecz „tylko” przyspieszy jej bieg. Z niewykluczoną jedną korektą, którą może wymusić kryzys ekonomiczno-społeczny samej Ameryki, jeśli ta pozwoli zbyt długo trwać zamrożeniu gospodarki i rosnącemu bezrobociu. Do ósmego kwietnia około 15 milionów Amerykanów straciło pracę (to mniej więcej 10% wszystkich zatrudnionych). Tydzień później liczba bezrobotnych przekroczyła 20 milionów. Ekonomiści holdingu finansowego J.P. Morgan Chase przewidują, że produkt narodowy brutto USA spadnie tej wiosny o 40%. Prezydent Trump będzie musiał wybierać między wielkim kryzysem, jak ten sprzed 90 lat, i zgodą na większą liczbę śmierci oraz zarażeń koronawirusem skutkiem rezygnacji z utrzymania przez obywateli „społecznego dystansu”. Wewnątrzamerykański dramat szeroko i najlepiej opisała w TPCT 209 prof. Ewa Thompson.

Wszystko co dotąd napisałem tylko częściowo dotyczy kraju, który wrócił do gromady ludów Zachodu niespełna 31 lat temu – Polski. Nasz społeczeństwo nie jest tak zdemoralizowane jak społeczeństwa, które dobrodziejstw w miarę normalnego rozwoju gospodarczego i zła niesionego przez demoliberalizm doświadczały nieprzerwanie od 1945 roku. Nie mamy wiele do powiedzenia w świecie polityki, ale to nie znaczy, że jesteśmy państwem bez znaczenia. Jak przed wybuchem pandemii, w czasie jej trwania i gdy się skończy zadaniem naszych polityków pozostanie umiejętna gra przy politycznym stole z USA i Chinami jako najważniejszymi graczami. A teraz wygląda na to, że – unikając porównań i nie ujmując niczego innym – możemy się chwalić społeczną dojrzałością Polaków w tym trudnym czasie trwania pandemii.

Wielkanoc, 14 kwietnia 2020

*Jacek Koronacki, prof. dr hab. inż., prof. em. Instytutu Podstaw
Informatyki PAN*

Fot. Fars News Agency, CC BY 4.0